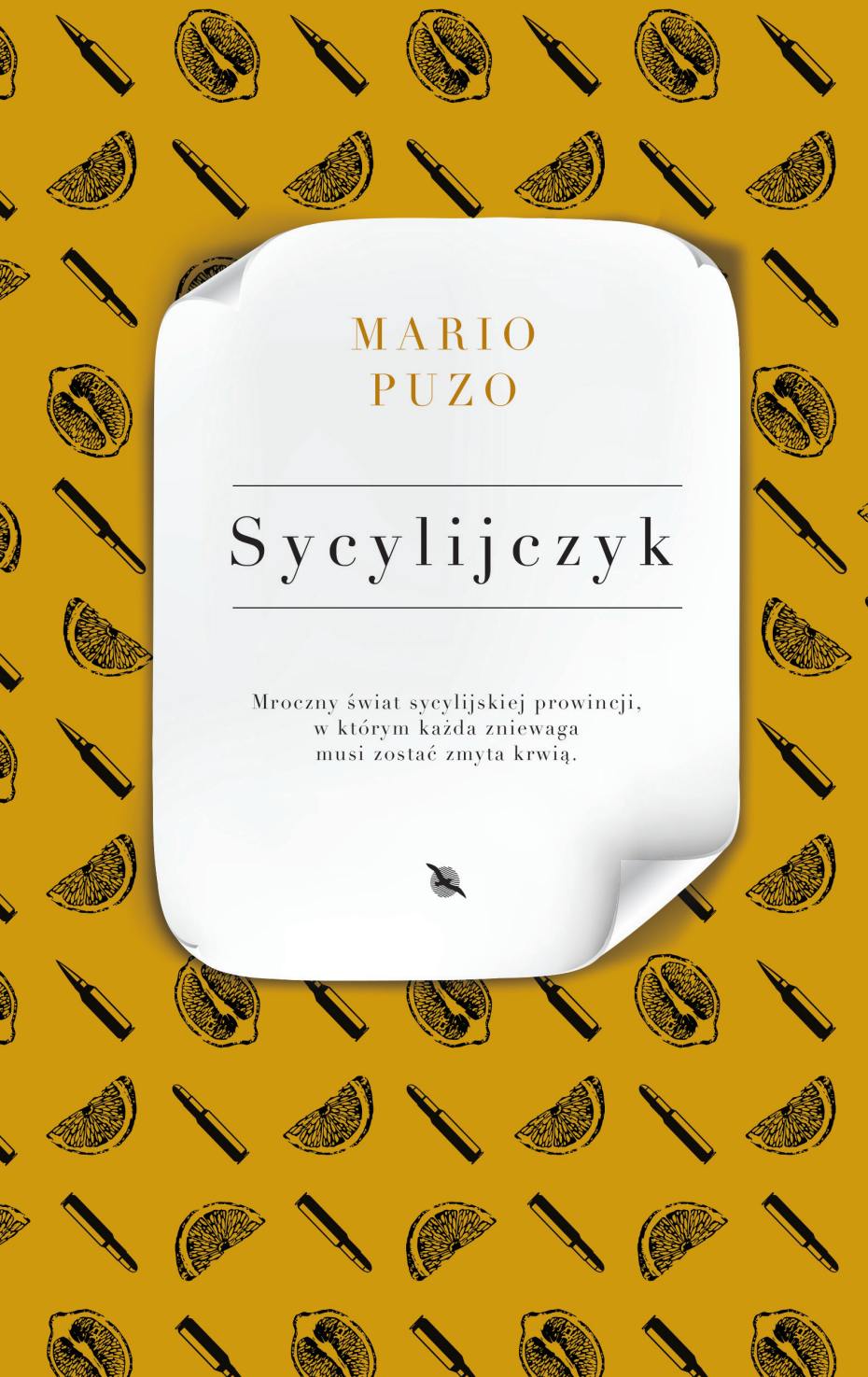




MARIO
PUZO

Sycylijczyk

Mroczny świat sycylijskiej prowincji,
w którym każda zniewaga
musi zostać zmyta krwią.



Tytuł oryginału:
THE SICILIAN

Copyright © Mario Puzo 1984
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Jan Jackowicz 2006

Ilustracje na okładce: Stock Vector (*cytryny*), Macrovector/Freeepik (*pociski*)

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

MICHAEL CORLEONE STAŁ NA długim drewnianym nabrzeżu w Palermo i przyglądał się transatlantykowi wyruszającemu w drogę do Ameryki. Miał popłynąć tym statkiem, ale od ojca nadeszły nowe instrukcje.

Pomachał na pożegnanie ludziom z kutra rybackiego, z którymi przyплыł do portu i którzy strzegli go przez ostatnie lata. Łódź płynęła białym kilwaterem olbrzymiego statku niczym dzielne małe kaczątko podążające śladem mamy. Siedzący w niej mężczyźni także mu pomachali; miał ich już nigdy nie zobaczyć.

Na nabrzeżu uwijali się robotnicy w czapkach i workowatych spodniach, którzy wyładowywali ze statków towary i pakowali na ciężarówki, czekające przy długim basenie portowym. Byli to niscy, żyłaści mężczyźni, wyglądający bardziej na Arabów niż na Włochów, w czapkach z daszkami, które ocieniały im twarze. Wśród nich znajdowali się nowi ochroniarze pilnujący, aby nie spotkało go nic złego, dopóki nie zobaczy się z donem Crocem Malo, *capo di capi* przyjaciół przyjaciół, jak zwano ich na Sycylii. Gazety i reszta świata nazywały ich mafią, ale słowo to nigdy nie przeszłoby przez gardło rodowitemu Sycylijczykowi. Tak jak nigdy nie nazwałby on dona Crocego Malo *capo di capi*, tylko użyłby określenia „dobra dusza”.

W ciągu dwóch lat sycylijskiego wygnania Michael słyszał wiele opowieści o donie Crocem, niektóre tak fantastyczne, że omal nie wierzył, aby taki człowiek mógł istnieć naprawdę. Ale instrukcje ojca były wyraźne: jeszcze tego samego dnia musi zjeść obiad z donem Crocem. Mieli przygotować wspólnie ucieczkę Salvatorego Guiliana, najgroźniejszego bandyty w kraju. Michael Corleone nie mógł bez niego opuścić Sycylii.

Przy końcu nabrzeża, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów, czekało u wylotu wąskiej uliczki wielkie ciemne auto. Stało przed nim trzech mężczyzn; ciemne prostokątne sylwetki odcinające się na tle oślepiającej ściany światła słonecznego, które niczym złota ulewa spływało z nieba. Michael ruszył w ich kierunku. Przystanął na chwilę, aby zapalić papierosa i rzucić okiem na miasto.

Palermo rozłożyło się na dnie niecki utworzonej przez wygasły wulkan; z trzech stron otaczały ją wzgórza, z czwartej zaś otwierała się na oślepiający błękit Morza Śródziemnego. Miasto połyskiwało w złotych promieniach sycylijskiego południa. Ziemia mieniła się czerwonymi odbłaskami, tak jakby odbijała krew, która w ciągu niezliczonych wieków wsiąkała w sycylijską glebę. Żłociste światło zalewało dumne marmurowe kolumny greckich świątyń, cienkie jak pajęczne nogi mauretańskie minarety, pełne zawilej ornamentyki fasady hiszpańskich katedr; na przeciwległym stoku stroszyły się blanki murów średniowiecznego normńskiego zamku. Wszystko to pozostało po rozmaitych okrutnych armiach, które rządziły Sycylią od czasów sprzed narodzenia Chrystusa. Wydawało się, że widoczny poza murami zamku łańcuch stożkowatych wierzchołków trzyma to trochę zniewieściałe miasto w dławiącym uścisku i w miarę jak sznur zaciska się mocno na szyi grodu, kat i jego ofiara osuwają się wdzięcznym ruchem na kolana. Wysoko w górze szybowwały po olśniewająco lazurowym niebie niezliczone sycylijskie sokoły.

Michael ruszył w kierunku trzech mężczyzn czekających ma niego przy końcu nabrzeża. Z czarnych prostokątów wyłaniały się stopniowo twarze i sylwetki. Z każdym krokiem widział ich coraz wyraźniej, a oni zdawali się odsuwać od siebie, tak jakby na powitanie chcieli go wziąć w środek.

Mężczyźni znali historię Michaela. Wiedzieli, że jest najmłodszym synem wielkiego dona Corleone z Ameryki, Ojca Chrzestnego, którego potęgą sięgała nawet Sycylii. Podczas wykonywania wyroku na wrogu imperium Rodziny Corleone zamordował wysokiego rangą policjanta z Nowego Jorku. Z powodu tego zabójstwa ukrywał się tu, na Sycylii, i w końcu, gdy sprawy zostały „załatwione”, miał wrócić do ojczyzny, na swoje miejsce następcy tronu Rodziny Corleone. Przyglądali się Michaelowi, jak poruszał się zwinnie i bez wysiłku, z czujną ostrożnością; patrzyli na jego zapadniętą z jednej strony twarz, która świadczyła o tym, że narażał się na cierpienia i niebezpieczeństwa. Bez wątpienia był człowiekiem „godnym szacunku”.

Gdy Michael zszedł z pomostu, pierwszy powitał go ksiądz, który tęgą sylwetkę ukrywał pod sutanną, a na głowie miał zatłuszczony, przypominający nietoperza kapelusz. Jego białą koloratkę upstrzył czerwony sycylijski kurz, widoczna nad nią twarz była pulchna i pospolita.

Ojciec Beniamino Malo, brat wielkiego dona Crocego, odznaczał się nieśmiałym, pobożnym zachowaniem, ale był oddany swemu sławnemu krewnemu i nigdy nie niepokoił się tym, że obcuje tak blisko z diabłem. Złośliwi szeptali nawet, że przekazuje donowi Crocemu tajemnice konfesjonału.

Ściskając rękę Michaela, ojciec Beniamino uśmiechnął się nerwowo. Wydawał się zaskoczony i uspokojony przyjaznym, choć zdeformowanym uśmiechem Michaela, tak nie na miejscu u sławnego zabójcy.

Drugi z mężczyzn nie okazywał takiej serdeczności, choć zachowywał się dość uprzejmie. Był to inspektor Frederico Velardi, szef sycylijskiej służby bezpieczeństwa. Tylko na

jego twarzy nie pojawił się powitalny uśmiech. Szczupły i zbyt wytwornie ubrany jak na człowieka pobierającego rządową pensję; jego zimne niebieskie oczy zdradzały genetyczne pokrewieństwo z pradawnymi normańskimi zdobywcami. Inspektor Velardi miał prawo nie darzyć sympatią Amerykanina, który zabijał wysokiej rangi policjantów. Mógł przecież popробować szczęścia i na Sycylii. Uścisk dłoni inspektora był lodowaty jak dotknięcie klingi miecza.

Trzeci mężczyzna był wyższy i potężniejszej budowy; obok tamtych dwóch wydawał się ogromny. Przytrzymał dłoń Michaela, a potem objął go w serdecznym uścisku.

– Kuzynie Michaelu – powiedział. – Witaj w Palermo. – Cofnął się i obrzucił Michaela przyjaznym, ale ostrożnym spojrzeniem. – Jestem Stefano Andolini, dorastałem razem z twoim ojcem w Corleone. Widziałem cię w Ameryce, kiedy byłeś dzieckiem. Pamiętasz mnie?

Rzecz dziwna, Michael pamiętał. Albowiem Stefano Andolini reprezentował najrzadszy typ Sycylijczyka – miał rude włosy. Stanowiło to jego wieczną udrękę, gdyż Sycylijczycy wierzą, że Judasz był rudzielcem. Kto ujrzał tę twarz, już jej nie zapomniął. Grube wargi dużych, nieregularnych ust przypominały krwiste, porąbane mięso, nad nimi widniały owłosione nozdrza i głęboko zapadnięte oczy. Choć się uśmiechał, jego twarz przywodziła na myśl mordercę z sennego koszmaru.

Jeśli chodzi o księdza, to Michael z miejsca pojął, co duchownego tu sprowadziło. Zaskoczyła go natomiast obecność inspektora Velardiego. Wywiązując się z obowiązków krewnego, Andolini szczegółowo wyjaśnił mu oficjalną rolę inspektora. Michael był ostrożny. Co ten gość tu robił? Velardi miał opinię jednego z najbardziej nieprzejednanych prześladowców Guiliana. Było też oczywiste, że inspektor i Stefano Andolini nie cierpią się nawzajem; odnosili się do siebie z subtelną kurtuazją ludzi gotujących się do pojedynku na śmierć i życie.

Kierowca otworzył im drzwi samochodu. Ojciec Beniamino i Stefano Andolini pełnym szacunku poklepywaniem po ramieniu wskazali Michaelowi miejsce na tylnym siedzeniu. Ojciec Beniamino nalegał z chrześcijańską pokorą, aby Michael usiadł przy oknie, żeby mógł obejrzeć piękności Palermo, sam zaś zajął miejsce w środku. Andolini także usiadł z tyłu, po drugiej stronie. Inspektor zdążył już wskoczyć na siedzenie obok kierowcy. Michael zauważył, że Velardi trzyma dłoń na klamce drzwi, aby móc je szybko otworzyć. Przemknęło mu przez głowę, że ojciec Beniamino tak skwapliwie usiadł w środku, żeby stać się mniej wyraźnym celem w razie ataku.

Niczym wielki, czarny smok auto ruszyło ulicami Palermo. Przy alei, którą przemierzali, wznosiły się pełne wdzięku mauretańskie domy, masywne, zdobione greckimi kolumnami budowle publiczne, hiszpańskie katedry. Domy mieszkalne zostały pomalowane na niebiesko, biało, żółto, wszystkie miały balkony przyozdobione girlandami kwiatów, które zdawały się tworzyć nad ich głowami jeszcze jedną aleję. Byłby to ładny widok, gdyby nie patrole karabinierów, włoskich żandarmów, którzy z bronią gotową do strzału stali na każdym rogu. Wielu żandarmów widać też było na górujących nad ulicą balkonach.

Auto, którym jechali, robiło wrażenie olbrzyma pośród otaczających go pojazdów, zwłaszcza zaprzężonych w muły chłopskich wozów, którymi przywożono tu ze wsi większość produktów. Były one pomalowane na wesole, żywe kolory, okrywające każdy centymetr ich powierzchni aż po szprychy kół i dyszle. Na bocznych deskach wielu z nich widać było całe malowidła przedstawiające rycerzy w hełmach i królów w koronach w dramatycznych scenach z legend o Karolu Wielkim i Rolandzie, starodawnych bohaterach sycylijskiego folkloru. Na kilku wozach Michael dostrzegł jednak postać przystojnego młodzieńca w moleskinowych spodniach i białej koszuli bez rękawów, z pistoletami za pasem i przewieszoną

przez ramię strzelbą, a poniżej nabazgrane niewyraźnie napisy, których dwie linijki kończyły się nieodmiennie wielkimi, czerwonymi literami układającymi się w nazwisko GUILIANO.

W czasie swego pobytu na Sycylii Michael wiele słyszał o Salvatore Guilianie. Jego nazwisko pojawiało się bezustannie w gazetach. Ludzie mówili o nim wszędzie. Młoda żona Michaela, Apollonia, wyznała mu, że co wieczór modli się o bezpieczeństwo Guiliana, jak to czyniły prawie wszystkie dzieci i młodzi ludzie na Sycylii. Uwielbiali go, był jednym z nich, człowiekiem, jakim sami pragnęli się stać. Młody, dwudziestoparoletni, został obwołany wielkim przywódcą, gdyż potrafił przeciwstawić się wysyłanym przeciwko niemu armiom karabinierów. Był przystojny i szczodry, oddawał biednym większą część swoich przestępczych dochodów. Jako człowiek prawy nigdy nie pozwalał swoim ludziom molestować kobiet czy napadać na księży. Gdy wykonywał wyrok na donosicielu albo zdrajcy, zawsze zostawiał ofierze czas na modlitwę i oczyszczenie duszy, aby mogła zjednać sobie jak największą przychyłność władców tamtego świata. O tym wszystkim Michael wiedział.

Auto skręciło w boczną ulicę i wzrok Michaela przyciągnął ogromny, wypisany czarnymi literami plakat, wiszący na ścianie domu. Zdążył tylko dostrzec widniejące w górnej linijce słowo GUILIANO. Ojciec Beniamino pochylił się do okna i powiedział:

– To jedna z proklamacji Guiliana. Mimo wszystko w nocy Palermo nadal należy do niego.

– A co ona głosi? – zapytał Michael.

– Znów zezwala mieszkańcom miasta jeździć tramwajami – odparł ojciec Beniamino.

– Zezwala? – powtórzył Michael w uśmiechem. – Człowiek wyjęty spod prawa zezwala?

Siedzący po drugiej stronie Stefano Andolini roześmiał się.

– Tramwajami jeżdżą *carabinieri*, więc Guiliano wysadza

je w powietrze. Ale przedtem ostrzegł ludzi, żeby z nich nie korzystali. A teraz przyrzeka, że już nie będzie podkładał tam bomb.

– Ale dlaczego Guiliano wysadza w powietrze tramwaje pełne żandarmów? – spytał sucho Michael.

Inspektor Velardi odwrócił głowę i przeszył go spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

– Ponieważ Rzym w swej głupocie kazał aresztować jego ojca i matkę za zadawanie się ze znanym kryminalistą, ich synem. Faszystowskie prawo, wciąż nieuchylone przez republikę.

Ojciec Beniamino oznajmił spokojnym, dumnym głosem:

– Mój brat, don Croce, załatwił już ich zwolnienie. Och, mój brat był bardzo zły na tych z Rzymu.

Chryste Panie, pomyślał Michael. Don Croce był zły na tych z Rzymu? Kim w istocie jest ten mafijny *pezzonovante*?

Samochód zatrzymał się przed długim, pomalowanym na różowo budynkiem. Wszystkie jego narożniki wieńczyły smukłe, niebieskie wieżyczki. Pod przyciągającym uwagę, szerokim baldachimem w zielone prążki z napisem HOTEL UMBERTO wejścia strzegło dwóch odźwiernych w jaskrawych liberiach ze złotymi guzikami. Ale przepych ten nie rozproszył uwagi Michaela.

Obrzucił wprawnym okiem ulicę przed hotelem. Zauważył przynajmniej dziesięciu ochroniarzy, którzy spacerowali parami albo opierali się o żelazną balustradę. Nie ukrywali swojej roli. Spod rozpiętych marynarek wyglądały rzemienie przytrzymujące broń. Dwaj z nich z cienkimi cygarami w ustach na moment zagrodzili Michaelowi drogę, gdy wysiadał z samochodu, i zlustrowali go uważnym spojrzeniem, tak jakby brali mu miarę na trumnę. Nie zwrócili uwagi na inspektora Velardiego i pozostałych.

Gdy przybysze znaleźli się w hotelu, odźwierni dokładnie zamknęli za nimi drzwi. W holu pojawiło się jeszcze czterech ochroniarzy, którzy odprowadzili ich długim korytarzem.

Ludzie ci mieli dumne miny służących cesarskiego pałacu.

Koniec korytarza zagradzały masywne dwuskrzydłowe dębowe drzwi. Siedzący na wysokim, przypominającym tron krześle mężczyzna wstał i otworzył je kluczem z brązu. Ukłonił się, przesyłając ojcu Beniaminowi porozumiewawczy uśmiech.

Goście ujrzeli wspaniały apartament; otwarte oszklone drzwi ukazywały głębię pysznego ogrodu, z którego dochodził aromat cytrusów. Wchodząc do środka, Michael dostrzegł dwóch ludzi, postawionych na straży wewnątrz pomieszczenia. Zastanawiał się, czemu don Crocego strzeże tak wielu ludzi. Był przyjacielem Guiliana, ale także zaufanym ministra sprawiedliwości w Rzymie, toteż nic nie groziło mu ze strony karabinierów, którzy zapelniali ulice Palermo. Kogo zatem i czego obawiał się wielki don? Kto był jego wrogiem?

Umeblowanie salonu zaprojektowano jak dla któregoś z włoskich pałaców – stały tu przepastne fotele, długie i głębokie sofy przypominające małe okręty i masywne marmurowe stoły, które robiły wrażenie, jakby skradziono je z muzeum. Tworzyły one doskonałą oprawę dla człowieka, który wszedł właśnie z ogrodu, aby ich powitać.

Już z daleka wyciągnął ręce, aby objąć Michaela Corleone. W pozycji stojącej don Croce wyglądał tak, jakby szerokość jego sylwetki dorównywała jej wysokości. Jego głowę wieńczyły gęste, siwe włosy, kręcone jak u Murzyna i starannie przyszczyżone. Oczy miał ciemne niczym jaszczurka, dwie rodzyнки osadzone nad wydatnymi, mięsistymi policzkami. Policzki te przypominały dwa grube mahoniowe obładry, z lewej strony zheblowane na gładko, z prawej pofałdowane z powodu nadmiaru ciała. Zaskakująco delikatne były jego usta, nad którymi czernił się cienki wąs. Twarz tę spajał gruby jak kołek, okazały nos.

Potężną talię opasywały ogromne, źle dopasowane spodnie, wiszące na szerokich, niegdyś białych szelkach. Miał na sobie obszerną, świeżo wypraną, ale nieodprasowaną białą koszulę.

Nie nosił krawata ani marynarki i stał boso na marmurowej posadzce.

Nie wyglądał na człowieka, który „moczy dziób” w każdym handlowym przedsięwzięciu w Palermo, nawet w skromnych straganach na rynku. Trudno było uwierzyć, że ma na sumieniu śmierć tysięcy osób. Że o wiele mocniejszą ręką rządzi zachodnią Sycylią niż Rzym. I że jest bogatszy od książąt i baronów, właścicieli wielkich sycylijskich majątków ziemskich.

Uścisnął lekko Michaela i powiedział:

– Znałem twojego ojca, gdy byliśmy dziećmi. To dla mnie radość, że ma tak świetnego syna.

Następnie wypytał gościa, czy podróż była wygodna i czy ma w tej chwili jakieś życzenia. Michael uśmiechnął się i odparł, że z przyjemnością zjadłby kawałek chleba i popił kropelką wina. Don Croce poprowadził go natychmiast do ogrodu, gdyż wzorem wszystkich Sycylijczyków spożywał posiłki na wolnym powietrzu, jeśli tylko miał po temu sposobność.

Stół ustawiono koło drzewka cytrynowego. Połyskiwały na nim kieliszki i jaśniał delikatny, biały obrus. Służący odsunęli obszerne trzcinowe krzesła. Don Croce z uprzejmym ożywieniem doglądał siadania do stołu, robiąc wrażenie młodszego, niż był w istocie, a miał już ponad sześćdziesiąt lat. Posadził Michaela po prawej, a swego brata w sutannie po lewej. Inspektora Velardiego i Stefano Andoliniego umieścił naprzeciw siebie i rzucił im nieco chłodne spojrzenia.

Wszyscy Sycylijczycy lubią dobrze zjeść, jeśli tylko mają co. Ludzie niekiedy dobrotliwie żartowali z dona Crocego, twierdząc, że wolałby on spożyć dobry posiłek, niż zabić wroga. Teraz siedział z błogim uśmiechem zadowolenia, trzymając nóż i widelec, podczas gdy służący wnosili jedzenie. Michael rozejrzał się po ogrodzie. Był on otoczony wysokim kamiennym murem, a przy osobnych stolikach siedziało co najmniej dziesięciu ludzi z ochrony, ale nie więcej niż

po dwóch przy każdym i w przyzwoitej odległości od dona Crocego, aby nie przeszkadzać jemu i jego gościom. Ogród wypełniał aromat drzew cytrynowych i oliwnych.

Don Croce osobiście obsługiwał Michaela, nakładając mu na talerz pieczonego kurczaka i ziemniaki, doglądając posypywania tartym serem spaghetti na mniejszym talerzu i napełniając jego kielich nieprzejrystym miejscowym białym winem. Żywe zainteresowanie i szczerą troskliwość gospodarza mówiły, że zależy mu, aby jego nowy przyjaciel dobrze zjadł i wypił. Michael był głodny, nie miał nic w ustach od świtu, ale don bezustannie dokładał mu jedzenia. Miał też na oku pozostałych gości i w razie potrzeby dawał znak służącemu, aby napełnił kielich albo dołożył jedzenia na pusty talerz.

Posiłek dobiegł wreszcie końca i don, pijąc z małej filiżanki espresso, gotów był zająć się interesami.

– Zatem zamierzasz pomóc naszemu przyjacielowi Guilianowi w ucieczce do Ameryki – zwrócił się do Michaela.

– Takie mam instrukcje – odparł Michael. – Muszę zadbać, żeby bez przeszkód dotarł do Stanów.

Don Croce kiwnął głową; na jego masywnej mahoniowej twarzy malowała się właściwa wszystkim grubasom senna życzliwość. Michaela zaskoczyło, że gospodarz mówi takim dźwięcznym tenorem.

– Wszystko to zostało uzgodnione między mną i twoim ojcem. Miałem dostarczyć ci Salvatorego Guiliana. Ale w życiu nic nie idzie gładko, zawsze pojawia się coś nieoczekiwanego. Trudno mi jest dotrzymać w tym momencie warunków umowy. – Uniósł rękę, dając Michaelowi znak, żeby mu nie przerywał. – Nie ma w tym mojej winy. Ja nie zmieniłem stanowiska. Guiliano jednak nie ufa już nikomu, nawet mnie. Latami, niemal od dnia, w którym wyjęto go spod prawa, pomagałem mu przeżyć. Można by rzec, że byliśmy współnikami. Przy mojej pomocy stał się największym człowiekiem na Sycylii, choć nawet teraz jest

tylko dwudziestosiedmioletnim chłopakiem. Ale jego czas się skończył. Pięć tysięcy włoskich żołnierzy i żandarmów przeszukuje góry, a on ciągle odmawia oddania się w moje ręce.

– W takim razie nie mogę nic dla niego zrobić – powiedział Michael. – Mam polecenie czekać nie dłużej niż siedem dni, potem będę musiał wyjechać do Ameryki.

Wypowiadając te słowa, zastanawiał się, dlaczego jego ojcu tak zależało na ucieczce Guiliana. Po tak długim wygnaniu Michael rozpaczliwie pragnął wrócić do domu. Martwił się o zdrowie ojca. Gdy uciekał z Ameryki, ciężko ranny ojciec leżał w szpitalu. Już po ucieczce został zamordowany jego starszy brat Sonny. Rodzina Corleone pogrążona była w desperackiej walce o przetrwanie przeciwko Pięciu Rodzinom nowojorskim – w walce z wrogiem, którego macki sięgnęły w głąb Sycylii, ściągając śmierć na młodziutką żonę Michaela. Posłańcy ojca co prawda przywieźli wiadomość, że stary don wylizał się z ran, że zawarł pokój z Pięcioma Rodzinami, że załatwił oddalenie wszelkich zarzutów wobec syna, lecz Michael zdawał sobie sprawę, że ojciec czeka na jego powrót, aby zrobić z niego swoją prawą rękę. Że pragnie go zobaczyć cała rodzina – siostra Connie, brat Freddie, przyszywany brat Tom Hagen, no i biedna matka, która z pewnością wciąż boleje nad śmiercią Sonny'ego. Na moment w myślach Michaela zagościła Kay – czy ona jeszcze o nim myśli, chociaż zniknął na całe dwa lata? Podstawowe pytanie brzmiało jednak: dlaczego ojciec odwleka jego powrót? Powodem mogła być tylko jakaś rzecz najwyższej wagi, związana z Guilianem.

Nagle uświadomił sobie, że inspektor Velardi wpatruje się w niego uważnie swymi niebieskimi zimnymi oczami. Na jego szczupłej, arystokratycznej twarzy malowała się pogarda, tak jakby Michael okazał tchórzostwo.

– Bądź cierpliwy – powiedział don Croce. – Nasz przyjaciel Andolini nadal zapewnia kontakt między mną a Guilianem i jego rodziną. Rozważymy sprawę wspólnie. Gdy

będziesz jechał do Trapani, odwiedzisz ojca i matkę Guiliana w Montelepre... to po drodze. – Przerwał na chwilę i rozjaśnił się w uśmiechu, który nie poruszył mięsistych policzków. – Poinformowano mnie o twoich planach. Wszystkich bez wyjątku. – Powiedział to ze szczególnym naciskiem, ale Michaelowi przeleciało przez głowę, że don nie mógł znać wszystkich jego planów. Ojciec Chrzestny nigdy nie informował nikogo o wszystkich swoich zamiarach.

Don Croce podjął spokojnym tonem:

– Wszyscy, którzy kochamy Guiliana, zgadzamy się co do dwóch spraw. Że nie może pozostać dłużej na Sycylii i musi wyemigrować do Ameryki. Inspektor Velardi też się z tym zgadza.

– To dziwne, nawet jak na Sycylię – stwierdził z uśmiechem Michael. – Inspektor jest szefem sił bezpieczeństwa, które zaprzysięgły, że złapią Guiliana.

Don Croce roześmiał się urwanym, machinalnym chichotem.

– Któż zdoła zrozumieć Sycylię? Ale to proste. Rzym woli, żeby Guiliano dotarł szczęśliwie do Ameryki, niż żeby wykrzykiwał oskarżenia w sądzie w Palermo. To tylko polityka.

Michael był oszołomiony. Czuł się wyjątkowo niezręcznie. Sprawy nie rozwijały się zgodnie z planem.

– Dlaczego w interesie inspektora Velardiego leży, żeby on uciekł? Martwy Guiliano nie stanowiłby żadnego zagrożenia.

Inspektor Velardi odrzekł mu pogardliwie:

– Wolałbym takie wyjście, ale don Croce kocha go jak syna.

Stefano Andolini wlepił w inspektora nienawistne spojrzenie. Ojciec Beniamino pochylił głowę, pociągając z kieliszka. Ale don Croce zwrócił się surowym tonem do inspektora:

– Wszyscy przy tym stole jesteśmy przyjaciółmi, musimy powiedzieć Michaelowi prawdę. Guiliano ma w rękawie

asa. Napisał pamiętnik, który nazywa swoim Testamentem. Zamieścił w nim dowody, że rząd w Rzymie... a właściwie niektórzy wysocy oficjele... pomógł mu w jego bandyckich latach, robiąc to dla własnych politycznych celów. Gdyby ten dokument został ujawniony, upadłby rząd chrześcijańskiej demokracji, a my mielibyśmy Włochy rządzone przez socjalistów i komunistów. Inspektor Velardi zgadza się ze mną, że trzeba zrobić wszystko, by do tego nie doszło. Tak więc gotów jest pomóc, aby Guiliano uciekł z tym swoim Testamentem... ma się rozumieć, pod warunkiem że nie zostanie on ogłoszony.

– Widział pan ten Testament? – zapytał Michael. Zastanawiał się, czy ojciec wie o jego istnieniu. Instrukcje nie wspominały ani słowem o takim dokumencie.

– Znam jego treść – odparł don Croce.

Inspektor Velardi wtrącił ostrym tonem:

– Gdyby decyzja należała do mnie, kazałbym zabić Guiliana i posłać go do diabła razem z jego Testamentem.

Stefano Andolini rzucił inspektorowi spojrzenie pełne otwartej nienawiści. Michaelowi po raz pierwszy przyszło do głowy, że ma przed sobą człowieka niemal tak groźnego jak sam don Croce.

– Guiliano nie podda się nigdy, a pan nie jest wystarczająco dobry, żeby go posłać do grobu – powiedział Andolini. – Zrobiłby pan o wiele mądrzej, gdyby zaczął pan się troszczyć o własną skórę.

Don Croce uniósł powoli rękę i przy stole zapadła cisza. Nie zwracając uwagi na pozostałych, zwrócił się do Michaela:

– Może się zdarzyć, że nie będę mógł spełnić obietnicy, jaką złożyłem twojemu ojcu, że dostarczę ci Guiliana. Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego don Corleone angażuje się w tę sprawę. Zapewniam cię jednak, że ma po temu powody, i to ważne. Ale co mogę zrobić? Dziś po południu pojedziesz do rodziców Guiliana, przekonaj ich, że ich syn powinien mi zaufać, i przypomnij tym zacnym ludziom, że to ja kazałem

zwolnić ich z więzienia. – Urwał na chwilę. – A wtedy być może będziemy mogli pomóc ich synowi.

W ciągu lat wygnania i życia w ukryciu Michael wyrobił w sobie niemal zwierzęcy instynkt wyczuwania niebezpieczeństwa. Darzył niechęcią inspektora Velardiego, bał się morderczych zapędów Stefana Andoliniego, a ojciec Beniamino przyprawiał go o dreszcze. Nade wszystko jednak jego myśli zakłócały alarmujące sygnały dobiegające od dona Crocego.

Zwracając się do dona Crocego, wszyscy mężczyźni siedzący przy stole znizali głos, robił to nawet jego rodzony brat, ojciec Beniamino. Pochylali się ku niemu z szacunkiem, czekając, aż przemówi, przestawali w tym momencie jeść. Służący krążyli wokół niego, jakby był słońcem, rozstawieni w ogrodzie ludzie z obstawy nie spuszczały go z oka, gotowi na jego rozkaz skoczyć i rozerwać na strzępy każdego, kto by się napatoczył.

Michael powiedział, cedząc z namysłem każde słowo:

– Don Croce, jestem tu po to, żeby spełnić każde pańskie życzenie.

Don Croce skinął ogromną głową na znak błogosławieństwa, założył kształtne dłonie na brzuchu i odezwał się władczym tenorem:

– Musimy być wobec siebie absolutnie szczerzy. Powiedz mi, jak zaplanowałeś ucieczkę Guiliana? Rozmawiaj ze mną jak syn z ojcem.

Michael zerknął ukradkiem na inspektora Velardiego. Nigdy nie zdobyłby się na szczerość w obecności szefa sycylijskiej służby bezpieczeństwa. Don Croce pojął to natychmiast.

– Inspektor Velardi kieruje się we wszystkim moją radą – powiedział. – Możesz mu ufać tak jak mnie.

Michael uniósł kieliszek, żeby pociągnąć łyk wina. Ponad jego krawędzią widział obserwujących ich ludzi z obstawy, widzów rozgrywającego się spektaklu. Zauważył na twarzy

inspektora niechętny grymas zdradzający, że Velardiemu nie przypadła do gustu dyplomatyczna odzywka dona Crocego wskazująca jasno, że to on rządzi nim i jego urzędem. Dojrzał mordercze skrzywienie grubych warg Andoliniego. Tylko ojciec Beniamino pochylił głowę, unikając jego wzroku. Michael wychylił mętne, białe wino i służący natychmiast napełnił jego kieliszek. Ten ogród nagle wydał się Michaelowi niebezpiecznym miejscem.

Przeczuwał, że to, co powiedział don Croce, nie mogło być prawdą. Czemuż to ktokolwiek z siedzących przy tym stole miałby ufać szefowi służby bezpieczeństwa? Czy mógłby mu zaufać także Guiliano? Historia Sycylii naszpikowana jest zdradą, pomyślał z goryczą; przed oczami stanęła mu zamordowana żona. Dlaczego więc don Croce był tak ufny? I skąd wokół niego tylu ochroniarzy? Don Croce był czołowym przywódcą mafii. Miał nader silne powiązania z władzą w Rzymie i w istocie służył jako nieoficjalny przedstawiciel tamtejszych urzędników na Sycylii. Czegoż więc don Croce mógł się obawiać? Chyba tylko Guiliana.

– Mój plan jest prosty. – Michael starał się mówić jak najszczerzej, czując na sobie wzrok dona. – Mam czekać w Trapani, aż zostanie mi dostarczony Guiliano. Przez pana i pańskich ludzi. Szybki statek przewiezie nas do Afryki. Będziemy oczywiście dysponować koniecznymi dokumentami. Z Afryki polecimy do Stanów, gdzie wszystko jest już przygotowane, żebyśmy mogli tam wjechać bez zwykłych formalności. Mam nadzieję, że będzie to tak łatwe, jak mnie zapewniano. – Zawiesił na chwilę głos. – Chyba że zaleci pan coś innego.

Don westchnął i pociągnął łyk wina. A potem utkwiał wzrok w Michaelu. Zaczął mówić powoli i z naciskiem:

– Sycylia to tragiczny kraj. Brakuje tu zaufania. Brakuje porządku. Jest tylko wiele gwałtu i zdrady. Robisz wrażenie człowieka przezornego, mój młody przyjacielu, i masz pod każdym względem słusność. Tak jak i nasz Guiliano. Pozwól,

że ci powiem: Turi Guiliano nie przeżyłby bez mojej protekcji, on i ja byliśmy niczym dwa palce tej samej ręki. Ale teraz on uważa mnie za wroga. Och, nawet sobie nie wyobrażasz, jak mnie to smuci. Marzę tylko o tym, żeby pewnego dnia Turi Guiliano mógł wrócić do swojej rodziny i został obwołany bohaterem Sycylii. Jest szczerym chrześcijaninem i dzielnym człowiekiem. I ma tak czułe serce, że zaskarbił sobie miłość wszystkich Sycylijczyków. – Don Croce zamilkł i pociągnął łyk wina. – Ale sprawy przyjęły groźny dla niego obrót. Został w górach sam, zaledwie z garstką ludzi, w obliczu armii, jaką Włochy posyłają przeciwko niemu. Ostatnio na każdym kroku spotyka zdradę, toteż nie ufa już nikomu, nawet sobie.

Przez chwilę don mierzył Michaela chłodnym spojrzeniem.

– Jeśli mam być całkowicie szczerzy – ciągnął – to gdybym nie kochał Guiliana tak bardzo, być może udzieliłbym ci rady, której nie jestem ci winien. Może powiedziałbym ci z całą uczciwością, żebyś wracał do Ameryki bez niego. Docieramy do zakończenia tragedii, która ciebie w najmniejszym stopniu nie dotyczy. – Urwał znowu i wetschnął. – Ale oczywiście jesteś naszą jedyną nadzieją i muszę prosić, żebyś został i pomógł naszej sprawie. Będę cię wspierał na wszystkie sposoby, nigdy nie porzucę Guiliana. – Don Croce uniósł kielich. – Niechby żył i tysiąc lat.

Wszyscy opróżnili kieliszki i Michael pogрузił się w rozmyślaniach. Czy don chce, żeby został, czy też żeby zostawił Guiliana na pastwę losu?

– Pamiętajmy – odezwał się Stefano Andolini – obiecaliśmy rodzicom Guiliana, że Michael odwiedzi ich w Montelepre.

– Oczywiście – przytaknął ściszym głosem don Croce. – Musimy dać jego rodzicom choć odrobinę nadziei.

Ojciec Beniamino odezwał się nieco zbyt uniżonym, natarczywym tonem:

– Może będą coś wiedzieli o jego Testamencie.

Don Croce westchnął.

– Tak. Testament Guiliany. On myśli, że ten dokument ocali mu życie, a przynajmniej pomści jego śmierć. – Zwrócił się wprost do Michaela: – Zapamiętaj to. Rzym boi się jego Testamentu, ale ja ani trochę. Powiedz też jego rodzicom, że to, co jest zapisane na papierze, ma wpływ na historię, lecz nie na życie. Życie to całkiem inna historia.

DROGA Z PALERMO DO Montelepre zajęła niecałą godzinę. Ale w ciągu tej godziny Michael i Andolini przenieśli się z miejskiej cywilizacji do prymitywnego świata sycylijskiej wsi. Małego fiata prowadził Stefano Andolini; jego gładko ogolone policzki i broda płonęły niezliczonymi ziarenkami szkarłatnych cebulek włosowych. Jechał ostrożnie i powoli, jak ludzie, którzy nauczyli się prowadzić samochód w późnym wieku. Podczas wspinaczki krętą drogą wiodącą przez rozległy maszyn fiata dyszał ciężko, jakby mu brakło tchu.

Pięć razy zatrzymywały ich w różnych miejscach blokady żandarmów, co najmniej dwunastoosobowe plutony, wspomagane przez samochody opancerzone, najeżone karabinami maszynowymi. Papiery Andoliniego umożliwiły im przejazd.

Michael dziwił się, że mimo bliskiej odległości od wielkiego Palermo krajobraz mógł stać się tak dziki i prymitywny. Mijali małe wioski, złożone z kamiennych domków, niebezpiecznie balansujących na stromych zboczach. Pochyłości te zamieniono pracowicie na wąskie, tarasowate poletka, porośnięte równymi rzędami zielonych, kolczastych roślin. Niewysokie wzgórza usiane były niezliczonymi, ogromnymi białymi głazami, na pół pogrzebanymi w mchach i łodygach trzciny; z daleka wyglądały jak rozległe cmentarze bez pomników.

Co jakiś czas ukazywały się przy drodze kapliczki – zamknięte pudła z trzcinowych prętów, kryjące posążki

Matki Boskiej lub jakiegoś szczególnie ulubionego świętego. Koło jednej z tych kapliczek Michael zobaczył kobietę, która modliła się na klęczkach, podczas gdy jej mąż siedział na zaprzężonym w osła wózku i popijał wino z butelki. Głowa osiołka zwisała ciężko jak u męczennika.

Andolini wyciągnął rękę i pogłaskał Michaela po ramieniu.

– Ogromnie się cieszę ze spotkania z tobą, drogi kuzynie – powiedział. – Wiedziałeś o tym, że Guilianowie są z nami spokrewnieni?

Michael był pewien, że to kłamstwo; mówiło mu o tym coś w lisim uśmiechu rudzielca.

– Nie – odparł. – Wiedziałem tylko, że jego rodzice pracowali u mojego ojca w Ameryce.

– Tak jak i ja – rzekł Andolini. – Pomagaliśmy przy budowie domu twojego ojca na Long Island. Stary Guiliano był doskonałym murarzem, i choć twój ojciec zaoferował mu posadę w handlu oliwą, pozostał przy swoim fachu. Przez osiemnaście lat tyrał jak Murzyn i oszczędzał jak Żyd. Po czym wrócił na Sycylię, żeby żyć jak angielski lord. Ale przez wojnę i Mussoliniego jego liry kompletnie straciły na wartości i teraz ma tylko dom i mały kawałek ziemi uprawnej. Przeklina dzień, w którym wyjechał z Ameryki. Oboje z żoną mieli nadzieję, że ich chłopak wyrośnie na księcia, a on został bandytą.

Koła fiata podnosiły tumany kurzu. Po bokach drogi widać było pośród kęp trzciny podobne do upiorów figi kaktusowe, które wyciągały niczym ręce zwisające owoce. W dolinach zieleniły się gaje oliwne i winnice.

– Turi został poczęty w Ameryce – powiedział nagle Andolini.

Dostrzegł pytające spojrzenie Michaela.

– Tak, zaczął życie w Ameryce, ale urodził się na Sycylii. Gdyby posiedzieli tam parę miesięcy dłużej, Turi miałby amerykańskie obywatelstwo. – Zawiesił na chwilę głos. – Bez przerwy o tym gada. Naprawdę myślisz, że możesz pomóc

mu w ucieczce?

– Nie mam pojęcia – odparł Michael. – Po obiedzie z inspektorem i donem Crocem sam już nie wiem, co o tym sądzić. Czy oni chcą, żebym mu pomógł? Mój ojciec powiedział, że don Croce będzie chciał właśnie tego. Ale nic nie wspominał o inspektorze.

Andolini odgarnął do tyłu rzadniejące włosy. Machinalnie nacisnął pedał gazu i fiat wyrwał do przodu.

– Guiliano i don Croce są teraz wrogami – oznajmił. – Ale zaplanowaliśmy wszystko tak, że nie ma tu miejsca dla dona Crocego. Turi i jego rodzice liczą na ciebie. Wiedzą, że twój ojciec nigdy nie zdradził przyjaciela.

– A po czyjej stronie ty jesteś? – zapytał Michael.

Andolini westchnął.

– Walczę u boku Guiliana – powiedział. – Przez ostatnie pięć lat byliśmy towarzyszami, a wcześniej on darował mi życie. Ale żyję na Sycylii, więc nie mogę wprost sprzeciwić się donowi Crocemu. Lawiruję między nimi obydwoma, ale nigdy nie zdradzę Guiliana.

Michael zamyślił się. Co ten gość chce powiedzieć, u diabła? Dlaczego od żadnego z nich nie można wydębić jasnej odpowiedzi? Ponieważ to jest Sycylia, pomyślał. Prawda napęla Sycylijczyków przerażeniem. Przez tysiące lat tyrani i inkwizytorzy torturowali ich, żeby dowiedzieć się prawdy. Prawdy domaga się rząd w Rzymie. Do mówienia prawdy przymusza ksiądz w konfesjonale, grożąc cierpieniem wiekuistej męki. Ale prawda to przecież źródło potęgi, dźwignia władzy, dlatego więc ktokolwiek miałby dzielić się nią z innymi?

Będę musiał znaleźć jakiś sposób, pomyślał Michael, lub może wykręcę się od tej misji i pośpieszę do domu. Stąpał tu po niebezpiecznym gruncie; Guiliano i don Croce najwyraźniej zaprzysięgli sobie wendetę, a wpłatanie się w wir sycylijskiej wendety równało się samobójstwu. Albowiem każdy Sycylijczyk uważa, że jedyną prawdziwą sprawiedliwością

jest zemsta, a ona nie zna litości. Na tej katolickiej wyspie, gdzie w każdym domu stoi figura płaczącego Chrystusa, wybaczały jedynie tchórze.

– Dlaczego Guiliano i don Croce stali się wrogami? – zapytał.

– Z powodu tragedii, jaka wydarzyła się na przełęczy Portella della Ginestra – wyjaśnił Andolini. – Dwa lata temu. Od tamtej pory nic nie wygląda już tak jak przedtem. Guiliano obwinił o nią dona Crocego.

Nagle samochód zaczął staczać się niemal pionowo w dół, droga zbiegała z gór w dolinę. Minęli ruiny normańskiego zamku, który został wzniesiony dziewięć wieków temu, żeby terroryzować okoliczne wioski, a teraz gościł gromady nieszkodliwych jaszczurek i kilka zbłąkanych kóz. Michael dostrzegł w dole miasteczko Montelepre.

Wcisnęło się ono tak głęboko między otaczające je z bliska góry, jakby było wiadrem wiszącym na dnie studni. Miało kształt koła, poza które nie wystawał żaden dom, a słońce późnego popołudnia oblewało kamienne ściany ciemnoczerwonym ogniem. Fiat dojechał do wylotu wąskiej i krętej uliczki i Andolini musiał nacisnąć hamulec i zatrzymać się w miejscu, gdzie zagroził im drogę pluton *carabinieri*. Jeden z żandarmów kazał im wysiąść z auta.

Michael przypatrywał się, jak Andolini okazuje papiery. Zobaczył specjalną przepustkę z czerwoną obwódką, a taki dokument mógł wystawić tylko minister sprawiedliwości w Rzymie. On też miał taką przepustkę, którą otrzymał z pouczeniem, że może ją okazać jedynie w ostateczności. W jaki sposób gość pokroju Andoliniego mógł wejść w posiadanie tak ważnego dokumentu?

Chwilę potem wrócili do samochodu i zagłębili się w ciasne uliczki Montelepre, tak wąskie, że gdyby z naprzeciwka nadjechało inne auto, nie mogliby go wyminąć. Wszystkie domy miały eleganckie balkony i zostały pomalowane na różne kolory. Dużo widziało się niebieskich, trochę mniej

białych, a niektóre były różowe. Tylko nieliczne pomalowano na żółto. O tej porze dnia kobiety przebywały w środku, zajęte gotowaniem obiadu dla mężów. Po uliczkach nie uganiały się dzieci. Zamiast nich na każdym rogu stało dwóch karabinierów. Montelepre robiło wrażenie miasta okupowanego, w którym wprowadzono stan wojenny. Z balkonów spoglądało jedynie kilku staruszków o kamiennych obliczach.

Fiat zatrzymał się naprzeciwko rzędu połączonych z sobą domów: jeden był pomalowany jasnoniebieską farbą i miał bramę, której kute pręty układały się w literę „G”. Bramę otworzył niski żylasty mężczyzna około sześćdziesiątki, ubrany w ciemny amerykański garnitur w prążki, białą koszulę i czarny krawat. Był to ojciec Guiliana. Przywitał Andoliniego krótkim, ale serdecznym uściskiem. Wprowadzając obu gości do domu, poklepał Michaela po ramieniu, tak jakby chciał wyrazić mu swoją wdzięczność.

Signor Guiliano miał twarz człowieka oczekującego śmierci ukochanej, nieuleczalnie chorej osoby. Widać było, że stara się ze wszystkich sił zapanować nad emocjami, ale unosił rękę do twarzy, tak jakby pragnął, by nie zmieniła wyrazu. Był wyprostowany i poruszał się sztywnym, ale mimo to nieco chwiejnym krokiem.

Znaleźli się w przestronnym saloniku, luksusowym jak na sycylijski dom w małym miasteczku. Królowało w nim ogromne powiększenie fotografii, zbyt rozmazane, aby dało się coś rozpoznać, oprawione w owalną, pomalowaną na kremowo drewnianą ramę. Michael od razu się domyślił, że to musi być Salvatore Guiliano. Poniżej, na małym, okrągłym, czarnym stoliku paliła się lampka wotywna. Na innym stoliku znajdowało się wyraźniejsze, oprawione zdjęcie. Ojciec, matka i syn stali przed czerwoną kotarą, syn władczy gestem otaczał matkę ramieniem. Salvatore Guiliano patrzył wprost w aparat, tak jakby rzucał mu wyzwanie. Miał nadzwyczaj przystojną twarz, jakby wziętą z greckiego posągu, o nieco surowych, rzeźbionych niczym w marmurze rysach, pełne,

zmysłowe usta i owalne, na pół przymknięte, szeroko rozstawione oczy. Była to twarz człowieka zdecydowanego, gotowego narzucić swą wolę całemu światu. Ale tym, na co nikt Michaela nie przygotował, była dobroduszna słodycz malująca się na tej pięknej twarzy.

W pokoju znajdowały się też inne jego zdjęcia – z siostrami i ich mężami – ale prawie nie było ich widać, gdyż stały na narożnych stolikach, na które padał cień.

Ojciec Guiliana poprowadził gości do kuchni. Od kuchennego pieca odwróciła się matka Guiliana, aby ich powitać. Maria Lombardo Guiliano wyglądała dużo starzej niż na fotografii w tamtym pokoju, w gruncie rzeczy można by ją wziąć za zupełnie inną kobietę. Jej uprzejmy uśmiech był po prostu szczeliną w zmęczonej, kościstej twarzy, obciążonej popękana, szorstką skórą. Na ramiona opadały długie i gęste włosy, naznaczone jednak grubymi pasmami siwizny. Uwagę przykuwały oczy starszej kobiety – prawie zupełnie czarne, pałające bezosobową nienawiścią do świata, który teraz miażdżył ją i jej syna.

Nie zwracając uwagi na męża i Stefana Andoliniego, zwróciła się do Michaela:

– Przyjechałeś pomóc mojemu synowi, tak czy nie?

Dwaj pozostali mężczyźni wyglądali na zakłopotanych jej bezceremonialnym pytaniem, ale Michael posłał jej poważny uśmiech.

– Tak, jestem po waszej stronie.

Napięcie trochę ją opuściło. Pochyliła głowę, zasłaniając się, jakby się bała, że ktoś ją uderzy.

– Ojciec Beniamino chciał z nami przyjechać, ale powiedziałem mu, że nie życzyście sobie tego – odezwał się uspokajająco Andolini.

Maria Lombardo uniosła głowę i Michael zdumiał się wyrazistością jej twarzy, która doskonale oddawała targające kobietą uczucia. Malowała się na niej pogarda i nienawiść, strach i szyderstwo, któremu dała wyraz w słowach, grymasy,

nad którymi nie potrafiła zapanować, dorównujące martwocie jej kamiennego uśmiechu.

– Och, ojciec Beniamino ma dobre serce, bez wątpienia – powiedziała. – I z tym swoim dobrym sercem podobny jest do zarazy, sprowadza śmierć na całą wioskę. Przypomina liść agawy: dość się o niego otrzeć i już się krwawi. No i zanosí sekrety konfesjonału swojemu bratu, sprzedaje diabłu dusze, które mu oddano w opiekę.

Signor Guiliano odezwał się spokojnym, rozsądnym tonem, tak jakby miał przed sobą szaleńca, którego należało uspokoić:

– Don Croce jest naszym przyjacielem. Kazał nas zwolnić z więzienia.

Kobieta wybuchnęła ze złością:

– Ach, don Croce! Jaki on zawsze miły, istna „dobra dusza”. Ale ja ci mówię, don Croce to wąż. Sięga po karabin i morduje przyjaciela, który stoi u jego boku. On z naszym synem mieli razem rządzić Sycylią, a teraz Turi ukrywa się samotnie w górach, a ten „dobroczyńca” gzi się w Palermo ze swoimi dziwkami, wolny jak ptak. Dość, żeby don Croce gwizdnął, i już Rzym liże mu stopy. A przecież ma na sumieniu więcej zbrodni niż nasz Turi. Jest zły, a nasz syn dobry. Ach, gdybym była mężczyzną jak ty, zabiłabym go. Wysłałabym tę „dobrą duszę” na wieczne odpoczywanie. – Z odrazą machnęła ręką. – Ale wy, mężczyźni, nic nie rozumiecie.

– Zdaje się, że nasz gość musi za parę godzin ruszyć w drogę – odparł niecierpliwym tonem ojciec Guiliana. – Powinien coś zjeść, zanim siądziemy, żeby porozmawiać.

Na twarzy staruszki odmalowało się nagłe zatroskanie.

– Biedaku, jechałeś cały dzień, żeby się z nami zobaczyć, musiałeś wysłuchiwać łgarstw dona Crocego i moich majaczeń. Dokąd się udajesz?

– Muszę być z samego rana w Trapani – powiedział Michael. – Będę tam czekał u przyjaciół mojego ojca, dopóki nie zjawi się wasz syn.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).